

TO BYŁ JEDEN z tych mieszanych kwartałów odchodzących od Central Avenue, jeszcze nie do końca czarny. Wyszedłem z niewielkiego zakładu fryzjerskiego, gdzie, jak sądziła agencja, mogłem znaleźć niejakiego Dimitriosa Aleidisa, golibrodę przyjętego tam na zastępstwo. Żadna duża sprawa, jego żona miała akurat do wydania trochę grosza i chciała, abym sprowadził go do domu.

Nigdy go nie znalazłem, a pani Aleidis nie wypłaciła mi pieniędzy.

Dzień był ciepły, koniec marca. Stałem pod zakładem i spojrzałem na neon sterczący z muru na wysokości piętra: „U Floriana” – lokal, gdzie można zjeść i rzucić kośćmi. Nie tylko ja mu się przypatrywałem. Na pokryte kurzem okna spoglądał jakiś facet z wypisanym na twarzy ekstatycznym skupieniem rosnącego emigranta, który po raz pierwszy ujrzał Statuę Wolności. Był człowiekiem o sporych gabarytach, mierzył na oko prawie dwa metry, a bary miał szerokości ciężarówki. Stał kawałek ode mnie ze zwieszonymi ramionami. Olbrzymie paluchy ścisnęły zapomniane dymiące cygaro.

Przemknęli obok niego szczupli milczący Murzyni, rzucając mu pośpieszne, ukradkowe spojrzenia. Bo było na co popatrzeć. Facet miał na sobie nieco wyświechtany kapelusz borsalino i popielatą sportową marynarkę

z guzikami stylizowanymi na piłeczki golfowe, brązową koszulę oraz żółty krawat. Do tego flanelowe spodnie z zakładkami, również szare, i buty ze skóry aligatora z białymi zdobieniami na czubach. Z brustaszy wylewała się kaskadą ozdobna poszetka, tak samo jaskrawożółta jak krawat. Za taśmę kapelusza wetknął kilka kolorowych piór, zupełnie zbędnych. Nawet na Central Avenue, gdzie nie ubierano się zbyt skromnie, facet rzucał się w oczy niczym tarantula na biszkopcie.

Był błądy i przydałaby mu się brzytwa, lecz tacy jak on zawsze wyglądają jakby potrzebowali golenia. Miał kręcone czarne włosy i ciężkie brwi, które niemal stykały się ze sobą nad kulfoniastym nosem. Za to uszy miał stosunkowo niewielkie jak na mężczyznę tej postury, a jego oczy wydały mi się lśniące, zaszklone, co widywało się często przy szarych tęczęwkach. Dopóki się w końcu nie uśmiechnął, można go było wziąć za pomnik.

Ruszył powoli chodnikiem do podwójnych drzwi wadłowych, za którymi były schody prowadzące na piętro. Otworzył je, rzucił całej ulicy beznamiętne spojrzenie i przestąpił próg. Gdyby był drobniejszy i ubrany mniej krzykliwie, mógłbym pomyśleć, że planuje napad, ale nie – nie z takim kapeluszem, z taką posturą, w takich ciuchach.

Drzwi odchyłone na zewnątrz samoczynnie się zamknęły, ale jeszcze się nie zatrzymały, a już otworzyły się powtórnie. Coś przeleciało przez chodnik i wylądowało między zaparkowanymi samochodami, prosto w rynsztoku. Upadło na kolana, podpierając się rękami i wydając z siebie przenikliwy pisk, niczym przyparty do

muru szczur. Podniosło się powoli, chwyciło kapelusz i wycofało się z powrotem na chodnik.

Był to chudy młodzieniec o wąskich barkach, brązowej skórze i starannie przylizanych czarnych włosach, ubrany w liliowy garnitur z goździkiem w butonierce. Rzeził chwilę przez otwarte usta, a ludzie patrzyli na niego niepewnie. Wreszcie chłopak przekrzywił zadziornie kapelusz, przylgnął do ściany i odszedł po cichu ulicą, stawiając platfusowate kroki.

Cisza. Samochody ruszyły. Podszedłem do podwójnych drzwi i stanąłem przed nimi. Już się nie ruszały. A ponieważ nie była to moja sprawa, popchnąłem je i zajrzałem do środka.

Łapsko tak duże, że mógłbym się w nim rozsiaść, wystrzeliło z półmroku, chwyciło mnie za ramię i niemal zgmiotło je na miazgę. Ktoś przeciągnął mnie przez próg i bez trudu uniósł. Olbrzymia twarz spojrzała na mnie i przemówiła cicho głębokim, ale delikatnym głosem:

– Smoluchy tutaj? Wytłumacz mi to, kolego.

Było ciemno i cicho. Z góry dochodziły do mnie dźwięki zdradzające czyjaś obecność, lecz na schodach byliśmy sami. Gigant popatrzył na mnie z powagą, nie przestając zgniatać mojego ramienia potężną łapą.

– Brudas – stwierdził. – Po prostu go wyrzuciłem. Widziałeś, jak go wywaliłem?

Puścił mnie. Kość nie wydawała się złamana, ale ramię mi zdrętwiało.

– Taki lokal – powiedziałem, rozcierając mięsień. – Czego się spodziewał?

– Nawet tak nie gadaj, koleś – zamruczał jak cztery tygrysy przed kolacją. – Velma tu pracowała. Mała Velma.

Znowu wyciągnął rękę, by złapać mnie za ramię. Próbowiałem zrobić unik, ale był zwinny jak kot. Ponownie zgniótł moje mięśnie żelaznymi paluchami.

– Ano – powiedział – mała Velma. Od ośmiu lat jej nie widziałem. Mówisz, że to miejscówka dla czarnych?

Wychrypiałem, że tak.

Uniósł mnie, ale się wyrwałem i spróbowałem odepchnąć go łokciem. Nie miałem przy sobie broni, gdyż uznałem, że poszukiwania Dimitriosia Aleidisa jej nie wymagają, zresztą i tak na niewiele by mi się teraz zdała. Olbrzym pewnie by mi ją zabrał i pożarł.

– Wejdz na górę i sam się przekonaj – powiedziałem, próbując nie zdradzić się z bólem. Rozluźnił uścisk i rzucił mi pełne smutku spojrzenie szarych oczu.

– Mam dobry humor – oświadczył. – Nie chciałbym, żeby ktoś mi go zepsuł. Może chodźmy tam razem, wypijemy parę kolejek.

– Nie obsłużą nas. Mówiłem ci, to knajpa dla kolorowych.

– Nie widziałem Velmy od ośmiu lat – zadudnił tym swoim smutnym głosem. – Osiem lat minęło od naszego pożegnania. Nie pisała od sześciu. Ale przecież musiała mieć jakiś powód. Pracowała tu, słodziutka. Chodźmy razem na górę, co?

– Dobra – wysyczałem. – Pójdę z tobą. Tylko mnie już nie podnoś. Sam pójdę. Nic mi nie dolega i jestem dorosły. Nawet do łazienki sam chodzę. I na ręce też mnie nie bierz.

– Mała Velma kiedyś tu pracowała – powiedział delikatnie. Wcale mnie nie słuchał. Wspięliśmy się na schody. Pozwolił mi iść samemu. Bolało mnie ramię, a kark miałem mokry od potu.